Nocleg w Częstochowie.

XIII.

Nocleg w Częstochowie.

W r. 1880 na początku września, po 3 mie-
sięcznym pobycie u boku mego męża, [illegible]
[illegible] [illegible] w [illegible] w Radom-
skiem, powracałam do Krakowa, wsiada[jąc]
do [illegible] kolejowej [illegible]. Wyjeżdżałam
wesoło i raźnie, gdyż dawno [illegible]
[illegible] [illegible] z kochaną rodziną, z któ-
rą i zawsze [illegible] [illegible] i [illegible]
[illegible] [illegible] nigdzie [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]
[illegible]
[illegible]

Nocleg w Częstochowie.

W r. 1880 na początku września, po 3 miesięcznym pobycie u brata mego męża, Stanisława Kiełklińskiego w Politowie w Radomskiem, powracaliśmy do Krakowa, zdążając do stacyi kolejowej Miechów. Wyjechaliśmy wczesnym rankiem, gdyż dzień zapowiadał się gorący. Pożegnanie z kochaną rodziną i myśl, że z powodu ówczesnych trudności i szykan paszportowych zapewne nieprędko znowu się zobaczymy, usposobiło nas smętnie a widok monotonnych równin radomskich, nędznych, zażydzonych miasteczek i tej rzadkich wiosek, usposobienia naszego rozpogodzić nie

mógł a nawet nasza pięcioletnia córeczka, zwykle szczebiotliwa, jakoś zamilkła. Upał począł nam dokuczać. Na wózku za nami z pakunkami jadąca nasza służąca, Antosia, kiwała się na wysoko wysłanem siedzeniu. Jak kojąco działa na człowieka widok pięknej przyrody, mieliśmy wkrótce doświadczyć, wjechawszy w wspaniałe lasy nieklańskie. Orzeźwiający chłód w cieniu olbrzymich drzew, upajająca woń leśna, świeża murawa podziałały na nas rozkosznie. Postanowiliśmy też zaraz rozbić tu nasz namiot, posilić ducha i ciało a dać wytchnąć zmęczonym koniom. Ale zawodne są wszelkie ludzkie rachuby. Zaledwie wysiedliśmy, zaledwie rozłożono

koce na murawie, i rozpakowano smaczne zapasy podróżne a córka nasza z boną, ebuną Pośpiech, poczęła zbierać śliczne jesienne poziomki, kiedy z lasu, jakby z pod ziemi wypadło nagle 6 konnych kozaków i świdrując nas wszystkich wzrokiem badawczym nie pozwolili się rozsiadać ani zagłębiać w las a jakiś starszy zażądał od męża legitymacyi całego personalu. Podczas gdy Moskal niby odczytywał podane przez mego męża paszporty, kozanie takowem okiem zerkali na nasze zapasy a właszcza na butelki . . .
Przyczyną gęsto rozstawionych straży w okolicy był ówczesny pobyt cara Aleksandra III.

w Spale i mający nastąpić w najbliższych
dniach powrót jego do Petersburga. Wiedzie-
liśmy o tem, lecz nie przypuszczaliśmy,
aby forpoczty aż tak daleko od linii ko-
lejowej sięgały. Kozacy, przekonawszy się
że nie jesteśmy bandytami ani anarchista-
mi, do czego zapewne przyczyniła się popraw-
na i czysta ruszczyzna mojego męża, pozwo-
lili nam zjeść i odpocząć nieco, lecz sta-
nąwszy zdala nie spuszczali nas z oka.
Jadąc jeszcze z dobrą godzinę przepięknym
borem, przybyliśmy na stację Wieklań,
majątku hr. Platera, zamienionego w istny
obóz moskiewski. Tu powtórzyły się indaga-
cye z dodatkiem podnoszenia i opukiwania

naszych kufrów, podejrzewanych o zawartość
n. p. maszyny piekielnej lub czegoś podobne-
go. Nie wolno nam było ruszyć się z budyn-
ku stacyjnego przez kilka godzin. Znudze-
ni, zirytowani odetchnęliśmy wreszcie w wa-
gonie, w pociągu wiodącym do stacyi Koluszki.
Ponieważ dzień powrotu cara trzymany był
w ścisłej tajemnicy, więc przez 2 tygodnie prze-
strzeń między Spałą a Warszawą obsadzoną by-
ła wojskiem. Wszędzie bieliły się namioty,
lśniły złożone w kozły karabiny. Żołnierze
ustawieni po bokach toru w odstępach
200 kroków, w pozycyi atakującej, odwróceni
od przebiegającego pociągu, aby nikt się doń nie
zbliżył. Wojskowi inżynierowie krążyli dniem

i mocą koło toru, uderzając młotkami o szyny dla wypróbowania ich wytrzymałości i pewności. Zaprawdę, tylko władca Wszech-rosyi mógł sobie pozwolić na tak zbytkowną podróż! Ach, jakże mądrze wiódł on wraz z rodziną swoją życie!... Mimo tak licznej straży i wiernych swych pretorjanów, właśnie w tej podróży między Spałą a Niekłaniem skradziono wszystkie srebra carskie przez otwór, w suficie wagonu wybity.

Późnym już wieczorem dobiliśmy nareszcie do Koluszek, lecz tu nam oznajmiono, że pociąg do Granicy na czas nieograniczony wstrzymano. Na domiar złego budynek stacyjny był w przebudowie i wszyscy pasażerowie w sali restauracyjnej mieścić się musieli.

zdobywszy kącik, zrezygnowani usiedliśmy na licznych naszych węzełkach. W przeciwnym rogu sali restaurator, ebiemiec, gościł przejeżdżającą z ebmeryki rodzinę. Gwar głośnej mowy, liczne toasty i bardzo poufałe wynurzenia uczuć rodzinnych, na jakie tylko sentymentalne ebiemki w publicznem miejscu zdobyć się mogą, wszystko to rozwiało nasze projekta wypoczynku i choćby chwilowej drzemki. Jedna z pociech amerykańskich, pięcioletnia dziewczynka, rozpoczęła taniec po sali, sztukając, jakby pastorałem, ogromnym parasolem w podłogę, przyśpiewując sobie. Po północy dał się słyszeć huk przejeżdżającego pociągu. Zelektryzowa-

na publiczność, zrzuciła się zdobywać miejsca. Udało nam się usadowić wygodnie w przedziale. Ale zapowiedziane było w gwiazdach, aby w tej podróży ani dusza nasza, ani ciało nie zaznały spokoju. Prawie równo z 3cim dzwonieniem usłużny konduktor obdarzył nas towarzystwem młodej pary, świeżo zaślubionej, która podążała za granicę. Młoda pani, usunąwszy szybkim ruchem nasze drobne pakunki w kąt półki, umieściła ostrożnie kolosalnej wielkości bukiet ślubny z tuberozy, kwiatu, którego piękność podziwiam, lecz zapach, właściwie w tak ciasnej przestrzeni przyprawia mnie o mdłości; pan młody zaś zrzucił na nas ście

bazyliszkowe spojrzenie i pewnie radby był wyrzucić nas oknem... ale tego nie braliśmy wcale do serca. Nagle dręczony niepewnością z uśmiechem słodko-kwaśnym zapytał dokąd jedziemy? Posłyszawszy, że tylko do Częstochowy rozjaśnił swoje dotąd chmurne oblicze a wydobywszy wspaniałą bombonierę poczęstował nas znakomitemi, warszawskiemi cukierkami.

O 2giej z rana stanęliśmy w Częstochowie. Mąż mój poszedł szukać mieszkania w angielskim hotelu a my, kobiety znowu weszłyśmy do poczekalni a zarazem sali bufetowej. Trzech rosyjskich oficerów, zapijających herbatę z dużą widocznie domieszką rumu

zabawiało niesmacznemi konceptami, zmęczoną czuwaniem i ziewającą srodze panną bufetową, która w nas tylko widziała deskę zbawienia w sytuacji niemiłej... Mijały kwadranse, które nam się wiekiem wydawały a mąż mój nie powracał. Nareszcie o 3ciej godzinie pojawił się z oznajmieniem, że w jakimś trzeciorzędnym hoteliku w pobliżu dworca udało mu się znaleźć 2 pokoje. Żywo poczęliśmy zbierać nasze tobołki, co widząc, przerażona bufetowa porzuciła szafy i szuflady, aby się wraz z nami wynieść z sali, bo czas był już najwyższy, gdyż oficerowie upiwszy się poczęli się awanturować. Umknęliśmy wraz z bufetową, błagającą nas o opiekę, jeszcze dosyć szczęśliwie z dwor-

ca. — Po całodziennem męczeniu byliśmy już obojętni na duże braki żydowskiego hotelu, pragnąc już tylko snu, do którego, pokrywszy czem można było żydowskie łóżka, w większym pokoju ulokowałam się z moją córką i francuzem; mąż mój obok w małym położył się pokoiku i zapaliwszy papierosa czytał jeszcze gazetę, kiedy rozległ się w korytarzu jazgot babski i jakieś dwie starsze jejmoście zajęły sąsiedni numer. Mąż mój cieszył się dobrym snem, lecz ja pożegnałam się z nadzieją spokoju, kiedy sąsiadki poczęły głośno wymyślać na częstochowskie brudy i nieład, narzekać na los swój nieszczęśliwy, stukać z hałasem walizami w celu zabarykadowania, dla wszelkiej pewności, drzwi do pokoju

mojego męża, w którym poprzez wąskie szpary widać było światło. Nagle rozległ się trzask, drzwi w lichym zamku pod naporem puściły i jejmość w najgłębszym negliżu, istna czarownica, rozczochrana i bosa, wraz z walizą na środku pokoiku mojego męża. Powstał wrzask obu pań, a niepochlebne epitety posypały się pod adresem niewinnego sąsiada. „To podstęp, to rozbój, planowana napaść” wrzeszczała rozsierdzona jejmość. Mąż mój spokojnie leżąc w łóżku, reflektował sąsiadkę słowami: „Niech odczepi się pani ode mnie, przecież nie ja, ale pani mnie napadłaś!” Ponieważ dzwonka nie było, kobiety wypadły na korytarz wołając ratunku. Przybiegł ro-

zespały wyszukał hotelowy z zapewnieniem, że nie jesteśmy opryszkami, ale bardzo porządne i familijne państwo. Mimo tak pochlebne świadectwo musiał portyer przynieść młotek i gwoździe dla zabicia, tych wyłamanych drzwi, na czem zeszło sporo czasu, tak, że doczekaliśmy się świtu. Niewyspani i głodni udaliśmy się do pobliskiej cukierni, gdzie po dobrej, gorącej kawie i wybornych, wielkich ciastkach, pokrzepiwszy wątłe ciało, podążyliśmy na Jasną Górę pokrzepić ducha i oddać cześć M. B. Usłyszawszy wspaniałego nabożeństwa, zwiedziwszy klasztor i skarbiec, nacieszywszy oczy pozapiękną widokiem z wałów fortecznych, o 2giej popołudniu wyruszyliśmy w dalszą

drogę. Mijając granicę, ostatniemu Moskalowi, stojącemu na moście, ośmielona, śmiejąca naszą z zadowoleniem na pożegnanie pokazała język.
Dojeżdżając do Szczakowy, czułam obawę przed rewizją naszych koszów, wiedząc że gdy idzie o wiktuały, celnicy austryaccy w gorliwości nie ustępują Moskalom.
Udało nam się jednak przewieźć i uchronić nawet przed krakowską akcyzą ogromny, kamienny garnek z powidłami i moc konfitur i wiejskich przysmaków, któremi nas kochani krewni obdarzyli.

1.

Jeszcze wspomnienie z lat dziecinnych.

Przygoda z pieskiem.

Pewnego letniego popołudnia, wybrała się matka moja, w towarzystwie jednej ze znajomych pań do ogrodu Botanicznego, gdzie, usiadłszy na ławce koło sadzawki delektowały się obie miłym chłodem i błogą ciszą, przerywaną tylko od czasu do czasu rechotaniem ogromnej ropuchy, usadowionej na brzegu wysepki na stawie i używającej także rozkoszy miłego powietrza. Była to widocznie dyrygentka chóru, dająca znak do rozpoczęcia koncertu żabiego. W tejże chwili ukazały się po przeciwległej stronie stawu dwie

panie z małą dziewczynką i pieskiem, który podrażniony głosem ropuchy począł z głośnem ujadaniem biegać koło stawu, co dziewczynkę biegającą także za psem śmieszyło wielce. Nagle piesek wziąwszy rozmach, rzucił się w wodę, płynąc z początku raźno w stronę ropuchy, lecz będąc już blizko wysepki począł znikać coraz częściej z powierzchni, co widząc dziewczynka wybuchła głośnym płaczem a i panie poczęły krzyczeć o ratunek dla swojego faworyta, lecz nikt się nie znalazł w pobliżu, w mało uczęszczanym ogrodzie. Matka moja, wzruszona żalem dziecka i zdjęta litością nad tonącem zwierzęciem, widząc że piesek ukazał się jakoś bliżej brzegu,

sunęła się po trawą pokrytej grobelce, chcąc
pieska dostać ręką, lecz po śliskiej trawie
pośliznąwszy się, wpadła do stawu po pas.
Poruszenie wody odbiło psinę znów ku wysepce,
ale matka wiedząc że sadzawka nie jest
zbyt głęboka, brnąc w grząskim szlamie,
zdołała uchwycić wylęknionego i osłabionego
pieska na czas jeszcze. Obecne panie wspólne-
mi siłami pomogły matce wydobyć się na
brzeg suchy, obsypując ją tysiącznemi słowa-
mi podzięki a dziewczynka nie zważając na
mokrą i zieloną rzęsą pokrytą postać
matki rzuciła jej się na szyję, przybierając
także postać rusałki. Całe to zdarzenie krót-
ką tylko chwilę, ale teraz nastąpiła narada

jak wydobyć się z tej komicznej sytuacyi. Szczęściem ogród był dość pusty i matka pod osłoną trzech pań przedostała się chyłkiem do mieszkania ogrodnika, gdzie żona jego pomogła jej ściągnąć z siebie mokrą odzież i ~~pomog~~ pożyczyła swojej odświętnej sukni. Muślinowa toaleta mej matki nie poniosła szwanku, tylko pantofelki padły ofiarą. Sprowadzoną dorożką powróciła matka do domu, przykazując zdziwionym tą metamorfozą swej pani sługom milczenie o całej sprawie. Koadjutor dopiero dowiedział się ojciec na mieście o mimowolnej kąpieli żony a gdy wyraził niepokój o jej zdrowie a także o to że „baby z tego plotek narobią", machnąwszy ręką rzekła matka: „Zdrowa jestem

a o babskie gadanie nie dbam."

Kobyłka.

W r. 1852, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w domu wuja Steinkellera przy plantach, pewnego dnia postrzegła matka moja, zdala dochodzące okrzyki i nawoływania żydowskie. Gdy też już dłuższą chwilę trwały podeszła matka do okna i spostrzegła na - przez szerokość plant oddzielonej - drodze jezdnej wózek naładowany pakunkami, a przy nim rozgniewanego żyda, okładającego chudego konia nielitościwie biczyskiem. Wynędzniałe zwierzę widocznie nie miało już siły ciągnąć wózka. Oburzona wstrętnym widokiem wysłała natychmiast słu-

żącego, aby powstrzymał żyda w jego zawziętości. [illegible] stróżący doszedł do drogi, jak z pod ziemi wyszedł drugi współwyznawca furmana i grubą laską bił konia z całej siły. Stróżący wyrwał z rąk żyda laskę i śmignął ją w powietrze tak wysoko, że na drzewie kasztanowym zawisła, czem jeszcze bardziej rozjątrzeni żydzi poczęli nieszczęśliwą szkapę bardziej jeszcze smagać. Tego już matka nie mogła znieść obojętnie. Przebiegła planty i tu dopiero zoczyła całą grozę tego zajścia. Szkapina, istny szkielet, z obtartemi od powiązanej w grube węzły uprzęży aż do kości bokami, broczącą krwią z licznych na grzbiecie ran, które rojem obsiadały złośliwe muchy, stawiała się na drżących nogach, dysząc ciężko. Matka moja, będąc z natury łagodne-

go a nawet pobłażliwego usposobienia, umiała zdobyć się na stanowczość i energię, kiedy szło o ludzkie a nawet i zwierzęce cierpienie. Więc i żony na żyda: „Wyprzęgaj szkapę natychmiast, widzisz że zdycha z wysiłku!” „eh, ona jest zdrowa tylko uparła, a nieszczęsne kobiete” odpowiedział żyd. „Wyprzęgaj, – powtórzyła matka, – inaczej dam cię do policji!” Gdy żyd się jeszcze wahał dodała: „Kupię tę kobyłę – ile chcesz za nią? Żyd widząc że szkapa lada chwila paść może i że będzie musiał ponosić koszt uprzątnięcia jej, po krótkim szwargocie z towarzyszem zażądał za kobyłę 3 złr., którą to sumę matka natychmiast uiściła. Wyprzężono ofiarę i żydzi sami popy-

chając worek z całej siły podążyli w stronę dworca kolei, lękliwie się jednak oglądając w stronę pobliskiego gmachu policyi. Skatowane ciężko zwierzę, zbywszy ciężaru wolniutkim tępem poszło do naszego domu, gdzie umieszczone w szopie obok stajni Steinkellerowskiej, odpocząwszy nieco, napiło się i pojadło sobie owsa z apetytem. Poczciwa nasza służba i stangret wujas zajęli się umyciem biedactwa. Działo się to wszystko w skwarne letnie południe, kiedy planty były puste, więc obeszło się bez zbiegowiska. Po obiedzie dopiero poszła się matka do swego niezwykłego spowiadnika. Ojciec nieco się zafrasował i rzekł: „Ebler Maryniu, cóż teraz z tym fantem zrobimy?” „Kobyła

zdechnie i będzie kłopot a jak przeżyje to jeszcze większy będzie, bo któż koło niej będzie mieć staranie?!" Tu już my dzieci wszyscy zawołaliśmy: „Tatusiu, my kobyłę pielęgnować będziemy a tatuś ją wyleczy!" Matka dodała: „Chodź Michale zbadać biedaczkę a ulitujesz się nad nią." Jakoż na widok skatowanej szkapy padły słowa oburzenia pod adresem żyda. Zaraz też ojciec napisał receptę na maść gojącą a matce polecił przygotować bandaże płócienne do opatrunku. Bracia szybko załatwili te sprawunki i bez straty czasu przystąpiliśmy wraz ze służbą do pracy. Ja ogania-

tam galerią muchy, cisnące się do stajenki. Jako dziecko ośmioletnie na razie tyle tylko mogłam uczynić dla pacyentki.
Dyagnoza wykazała, że kobyła wewnętrznie jest zdrowa, że ma jeszcze wszystkie zęby, ale zwierzę zbiedzone, zagłodzone, może jeszcze odzyskać siły. Lecz powierzchowność trudniej jej będzie przywrócić, gdyż sierć wytarta i blizny zostaną; szkapina centkowaną zostanie. Od tej chwili kobyłka stała się przedmiotem starań i opieki całego domu; szybko zaczęła przychodzić do sił, rany się wygoiły, boki wypełniały, oczy nabrały blasku. Chrupała trawkę, rosnącą pod sztachetami w podwórzu, a pocześny stróż, stary

Aleksy, wyprowadzał ją w nocy na trawnik plantacyjny, należący pasem 2 metrowym do domu Steinkellera. Sam starowina siedział po kilka godzin na ziemi, pilnując dobrowolnie kobyłki a bojąc się zdrzemnięcia, śpiewał godzinki cienkim, zachrypłym głosem. Wdzięczne zwierzę nauczyło się poznawać nas i jak pies za nami chodziło. Spieściliśmy ją, znosząc różne przysmaki jak skórki z melona i kawona, cukier, ciasto i t. p. a my dzieci znaczną część naszych skromnych funduszów topiliśmy u przekupki, siedzącej vis-à-vis bramy, na chleb świętojański i pierniki dla naszej czworonogiej pieszczochy. Nie puszcza-

liśćmy kobyłki do ogrodów i obawy, aby nie potratowała kwietników, więc od strony podwórza tęsknie spoglądała przez sztachety na nas. Raz zastawszy furtkę otwartą weszła ścieżką pod okna i przez każde zaglądała, widocznie nas szukając; pospacerowawszy sobie wśród kwiatów najmniejszej nie uczyniła szkody, jakby pojęła co jest powodem zamykania przed nią furtki. Jak wszystko na świecie, tak też idylla kobyłki musiała się skończyć. Wakacye dobiegały do końca, braciszkowie moi zbierali się już do wyjazdu a jako główni opiekunowie kobyłki, musieli mieć głos w postanowieniu dalszego jej losu.

Złożono więc naradę i powzięto myśl szczęśliwą darowania zupełnie już zdrowej klaczy naszej długoletniej mleczarce, bardzo poczciwej i tęgiej gospoś z Węgrzec pod Krakowem, z tem jednak zastrzeżeniem, że za bytnością mleczarki w dni targowe, kobyłka z wózkiem u nas pozostawać będzie w gościnie przez czas pobytu w mieście. Pożegnanie z braćmi było tkliwe; chłopczyska kilkakrotnie powracali od bramy, aby jeszcze pogłaskać szkapę, do której się przywiązali z wzajemnością. Mleczarka z wdzięcznością dar przyjęła, o kobyłce miała staranie; świadczył o tem wygląd zwierzęcia, któremu los po latach męki w żydowskiej służbie

dał jeszcze lat kilka odetchnąć u ludzi poczciwych.

Zeszyt

V

I

